

TECHNIKA, ETYKA A SZTUKA BIOGENETYCZNA

REFLEKSJA NAD NOWĄ ROLĄ TWÓRCZĄ CZŁOWIEKA

I

Mówiąc najogólniej, to, że etyka ma coś do powiedzenia w odniesieniu do techniki, sama zaś technika podlega ujęciom etycznym, wynika z prostego faktu, iż technika jest wykonywaniem ludzkiej siły, a więc rodzajem działania, a całe ludzkie działanie podlega kryteriom etycznym. Banalne jest stwierdzenie, iż jedna i ta sama siła może być wykorzystywana dla dobra oraz dla zła, a przy jej użyciu normy etyczne mogą być respektowane lub naruszane. Technika jako ta, rozwinięta niezwykle, ludzka siła podlega także tej oczywistej prawdzie. Czy nie stanowi ona jednak przy tym swoistego przypadku wymagającego osobnej refleksji etycznej, która różni się w swej istocie od tego, co odnosi się do jakiegokolwiek działania ludzkiego i co w przeszłości obejmowało różnorodne jego rodzaje? Twierdzę, że technika współczesna stanowi w gruncie rzeczy nowy i szczególny przypadek, i chcę podać pięć racji w tym względzie, które uważam za istotne.

1. Ambiwalentność działań

Ogólnie rzecz biorąc, każda czynność „jako taka” albo też „brana sama w sobie” jest dobra i staje się złą na skutek złego wykonania. Przykładowo: jest czymś niepodważalnie dobrym posiadać dar lub siłę wymowy, złą rzeczą będzie jednak wykorzystywanie tego daru dla okłamywania innych lub dla prowadzenia ich do zguby. Zrozumiały jest tu w pełni nakaz: używaj tej siły, powiększaj ją, ale jej nie nadużywaj. Zakłada się przy tym, że etyka potrafi jasno odróżnić właściwe i niewłaściwe użycie jednej i tej samej właściwości czy też możliwości działania. Jak się jednak rzeczy mają wówczas, gdy w ramach jednego ciągu poczynań podejmujemy poszczególne działania w dobrym zamiarze, natomiast ich zasadniczy kierunek pociąga za sobą ostatecznie złe czyny, które wiążą się ściśle z zamierzonymi bezpośrednio „dobrymi” czynami i je w końcu przenikają do głębi? Gdyby tak się rzeczy miały w technice współczesnej — jak można by to nie bez podstaw przyjąć — to zjawiłby się wówczas problem moralnego, bądź też niemo-

ralnego wykorzystywania jej sił, nie jako sprawa oczywista sama przez się, wymagająca jedynie jakościowych rozróżnień i niezależna od nastawienia, lecz jako prawdziwy labirynt ilościowych domniemań co do ostatecznych rezultatów, a sama odpowiedź stałaby się w jakiejś mierze owocem przypadku. Trudność polega na tym, że nie tylko wtedy, gdy technika jest „zła”, a więc gdy zmierza do złych celów, ale także wówczas, gdy stosuje się ją w dobrych i w pełni uzasadnionych zamiarach, posiada ona w sobie coś groźnego, co na dłuższą metę powinno mieć *ostatnie słowo*. Ta zaś długoterminowość zawarta jest w samym działaniu technicznym. Dzięki swej wewnętrznej dynamice, która ją w ten sposób poniekąd wyprzedza, technika posiada jakieś pole etycznej neutralności, gdzie główną troską staje się już tylko jego przepustowość. Ryzyko „nadmiaru” jest wciąż obecne w warunkach, gdy wrodzony zarodek „zła” czyli szkodliwości jest podtrzymywany i wzbogacany przesadnym akcentowaniem „dobra” czyli użyteczności. Niebezpieczeństwo tkwi bardziej w osiągnięciach, aniżeli w ich braku — a przecież osiągnięcia są nieodzowne ze względu na nacisk wymagań ludzkich. Odpowiednio wypracowana etyka techniki powinna zająć się tą wewnętrzną wieloznacznością czynu technicznego.

2. Siła zastosowania

Posiadanie jakiejś możliwości czy siły nie oznacza jeszcze (u jednostek czy grup) jej stosowania. Może ona stosunkowo długo pozostawać w stanie spoczynku, gotowa do użycia, aby w odpowiedniej chwili, na życzenie i zgodnie z wolą podmiotu, przerozdzic się w działanie. Mówca nie musi zawsze mówić i może pozostać milczący. Wydaje się też, że jakakolwiek wiedza może chwilowo zawiesić swoje działanie. Ta wyraźna zależność możności i działania, wiedzy i jej zastosowania, posiadania i używania siły nie odnosi się jednak do samego podłoża możliwości technicznych danego społeczeństwa, które — podobnie jak nasze — całokształt swego życia złożonego z pracy i wypoczynku oparło na ustawicznym aktualizowaniu swego technicznego potencjału przy harmonijnej współpracy wszystkich jego elementów. Sytuacja jest tu bardziej zbliżona do możliwości i konieczności oddychania, aniżeli do możliwości i konieczności mówienia. Wszystko zaś co się tyczy aktualnego podłoża, rozrasta się z nim za każdym razem tak dalece, że gdy ukazuje się jakaś nowa możliwość (przeważnie dzięki nauce) i rozwija się poprzez działanie, to ma ona to do siebie, że zostaje wykorzystana w coraz to większej mierze, samo zaś jej wykorzystywanie staje się koniecznością życiową. Tym samym

też technika pojęta jako zwielokrotniona ludzka siła w *ustawicznym działaniu* nie tylko że nie staje się (jak to wyżej wykazano) miejscem neutralności etycznej, ale także nie pozwala na dobroczynne oddzielenie posiadania od użycia siły. Postępujące ciągle naprzód zdobywanie nowych rodzajów wiedzy wkracza, dzięki samemu swemu rozprzestrzenianiu się, w krwioobieg postępowania społecznego, od którego nie da się już potem wyodrębnić (chyba że w formie jakiejś dodatkowej namiastki). Samo zaś przyswajanie sobie nowych możliwości, każdy nowy wkład do arsenału środków pociąga za sobą, wraz ze swą na ogół znaną dynamiką, pewien ładunek etyczny, który obciążałby jedynie poszczególne przypadki swego zastosowania.

3. Globalne wymiary w przestrzeni i czasie

Ukazaliśmy dotychczas jeden aspekt moralnych wymiarów działania w jego czystej wielkości. Zakres działania techniki współczesnej w jej całości i w poszczególnych jej przedsięwzięciach jest jednak tego rodzaju, że pociąga on za sobą zupełnie nowe wymiary w ramach wartościowania, które nie były znane dawnym sposobom działania. Mówiliśmy już o sytuacji, w której „każde wykorzystanie możliwości w pełni” prowadzi do tego zasadniczego nastawienia, które pociąga za sobą ostatecznie złe czyny. Powinniśmy teraz dodać, że obecnie *każde* zastosowanie możliwości technicznych przez społeczeństwo (jednostka już się nie liczy) zmierza do tego, by stać się jakąś „wielkością”, pełnią. Technika współczesna jest z natury swej nastawiona na „wielki” użytek i może jest nawet za wielka w stosunku do wielkości sceny, na jakiej występuje (a więc ziemi) oraz ze względu na dobro aktorów, jakimi są ludzie. Jest pewne przynajmniej to, że rozszerza się ona i jej dzieła poza obręb ziemi, a jej skumulowane działania dosięgają także niezliczonych przyszłych pokoleń. Tym, co tu i teraz czynimy przeważnie z myślą o sobie samych, wpływamy decydująco na życie milionów osób żyjących gdzie indziej i w przyszłości, które nie mają przy tym nic do powiedzenia. Swymi krótkometrowymi potrzebami i osiągnięciami zakładamy hipoteki obciążające przyszłe życie, a ważnym przy tym jest fakt, iż są to w większości potrzeby egoistyczne. Nie potrafimy, być może, inaczej postępować. Niemniej jednak gdy coś takiego czynimy, powinniśmy zwracać szczególną uwagę na to, byśmy czynili to uczciwie w stosunku do przyszłych pokoleń, a więc tak, by nie pogrzebać już z góry ich szans obciążoną dogłębnie hipoteką. Zasadniczym punktem w tej kwestii jest to, że etyczną nowością, do jakiej zniewoliła nas technika, jest wtłaczanie dalszych, przyszłych i całościowych

wymiarów w nasze codzienne, życiowo-światowe rozstrzygnięcia; etyczna zaś kategoria, która doszła tą drogą wybornie do głosu, nosi miano *odpowiedzialności*. Natomiast to, że odpowiedzialność spoczywa, jak nigdy dotąd, w samym centrum ładunku etycznego, otwiera nowy rozdział w historii etyki, który ma za przedmiot nowe postanowienia co do wielkości siły, z którymi winna się odąd liczyć etyka jako taka. Wymagania stawiane odpowiedzialności rosną proporcjonalnie do poczyznań *siły*.

4. Przełamanie antropocentryki

Przekraczając czasowo-przestrzenny horyzont swego otoczenia, rozszerzający się coraz to bardziej zasięg ludzkiej siły przełamuje antropocentryczny monopol wielu dawniejszych systemów etycznych, religijnych lub świeckich. Domagano się zawsze *ludzkiego* dobra, starano się szanować interesy i prawa innych ludzi, dążono do naprawiania niesprawiedliwości wyrządzanej ludziom i do łagodzenia ich cierpień. Przedmiotem ludzkiej troski byli sami ludzie, a ostatecznie ludzkość, ale nie na tej ziemi. (Zazwyczaj bowiem horyzont etyczny bywał zacieśniony, powiedzmy „do miłości bliźniego”). Nic z tego wszystkiego nie straciło na swej mocy wiążącej. Obecnie jednak cała biosfera planety z wielką różnorodnością jej kształtów domaga się, w swej świeżo odkrytej możliwości zranienia tego, by człowiek nie wkraczał w nią przesadnie, by ją szanował tak, jak wszystko inne, co ma własne przeznaczenie, tzn. co służy życiu. Czysto indywidualne prawo człowieka z całym swym nastawieniem na niego samego i ze swą stroną etyczną zostało przewyciężone wraz z uzyskaniem przez niego niemal monopolistycznej siły nad każdym innym życiem. Jako planetarna siła pierwszego rzędu, człowiek nie ma już prawa myśleć tylko o sobie samym. Istnieje mianowicie nakaz nie pozostawiania naszej potomności opustoszałego dziedzictwa, a więc poszerzania etycznego pola widzenia zawsze w duchu ludzkiego obowiązku wobec *człowieka* — jako zobowiązanie płynące z międzyludzkiej solidarności przeżywania i korzystania, poznawania, rozkoszowania się i zdumiewania. Albowiem zubożone nieludzkie życie, zubożona natura oznacza także: zubożone ludzkie życie. Właściwie jednak pojęte wszczęcie egzystencji dobrobytu jako takiej w ludzkie dobro, a tym samym włączenie jej zachowania w zakres zobowiązań człowieka przekracza skoncentrowany na korzyści, czysto antropocentryczny punkt widzenia. Szersze spojrzenie zespala dobro ludzkie ze sprawą życia w jej całości, a nie przeciwstawia mu wrogo wszystkiego, oraz zachowuje własne prawo dla pozaludzkiego życia. Jego uznanie oznacza, że każde samowolne i nieko-

nieczne wyniszczenie gatunków staje się już samo w sobie zbrodnią, niezależnie od zgodnych sugestii zrozumiałego w pełni interesu osobistego; transcendentnym zobowiązaniem człowieka staje się też tym samym troska o zachowanie niezastąpionych i możliwych do odrestaurowania „zasobów” — tego niesłuchanie bogatego państwa genów, jakie przyniosły ze sobą całe eony ewolucji. Obowiązek ten nakłada na człowieka sam jego przerost władzy; albowiem właśnie ze względu na tę władzę — a więc ze względu na niego samego — konieczna jest tu ochrona. Dochodzi zatem do tego, że technika, to chłodne dzieło praktyczne ludzkiej przebiegłości i roztropności, wprowadza człowieka w rolę, jaką mu przypisywała niegdyś sama tylko religia: rolę zarządcy czy też protektora stworzenia. Kiedy mianowicie technika zwiększa siłę swego oddziaływania aż do tego stopnia, że staje się sama wyraźnie niebezpieczna dla podtrzymania całokształtu rzeczy, wówczas rozszerza odpowiedzialność człowieka za przyszłość życia na ziemi, które obecnie jest wystawione bezbronnie na nadużycia jego władzy. Odpowiedzialność ludzka staje się tym samym po raz pierwszy odpowiedzialnością kosmiczną (albowiem nie wiemy, czy istnieje jeszcze inny, podobny wszechświat). Rozwijająca się etyka środowiskowa, która nie ma u nas żadnych bez wątpienia precedensów, jest kolejnym wyrazem tego bezprecedensowego rozciągnięcia naszej odpowiedzialności, która ze swej strony odpowiada równie bezprecedensowemu rozciągnięciu rozległości naszych poczynań. Nasuwa się tu upokarzająca myśl, że trzeba było tego widocznego zagrożenia całości, tych faktycznych początków jej zagłady, abyśmy zdołali odkryć (lub dostrzec ponownie) naszą solidarność z tą zagrożoną całością świata.

5. Narzucenie problemu metafizycznego

Apokaliptyczny potencjał techniki — jej zdolność do zagrożenia dalszej egzystencji rasy ludzkiej, albo do obciążenia jej genetycznej nienaruszalności czy też samowolnego jej zmieniania, albo wreszcie do zniszczenia warunków podtrzymywania wyższego życia na ziemi — nasuwa ostatecznie pytanie metafizyczne, z jakim etyka nie spotykała się dotychczas, a mianowicie czy i dlaczego ma istnieć ludzkość; dlaczego człowiek ma pozostać takim, jakim uczyniła go ewolucja, i dlaczego winien szanować swoje genetyczne dziedzictwo; a przede wszystkim dlaczego ma przekazywać życie? Pytanie nie jest tak ciche, jak (z braku poważnego zaprzeczenia wszystkich tych nakazów) się wydaje, a odpowiedź na nie jest istotna z tego względu, że musimy wciąż świadomie ryzykować wiele w naszych wielkich zawodach technicznych i że te ry-

zyka są niedopuszczalne. Jeżeli istnienie stanowi kategorię imperatywu dla ludzkości, to każda samobójcza gra z istnieniem jest kategorię zabroniona, a techniczne hazardy, przy których dochodzi do głosu choćby namiastka tych zagrożeń, muszą być z góry wykluczone.

To są niektóre powody, dla których technika staje się nowym i szczególnym przypadkiem rozważań etycznych, co więcej, które wymagają zejścia aż do samych korzeni etyki. Trzeba wskazać przy tym na szczególne zgranie podstawy pierwszej z trzecią, argumentu „ambiwalentności” z „wielkością”. Na pierwszy rzut oka wydaje się bowiem czymś łatwym odróżnić technikę dobroczynną od szkodliwej, kiedy mianowicie patrzy się wyłącznie na zastosowanie poszczególnych narzędzi. Pług jest dobry, a miecze złe. W czasach mesjańskich miecze mają być przekute na lemiesz. Przekładając to na język technologii współczesnej, trzeba by powiedzieć, że bomby atomowe są złe, a nawozy chemiczne, które pomagają w wyżywieniu ludzkości, są dobre. Rzuci się jednak zaraz w oczy kpiący dylemat techniki współczesnej: *wasze* „lemiesz” mogą stać się na dłuższą metę równie złe, jak „miecze”! (A „dłuższa meta” narastających stopniowo działań wiąże się, jak wiadomo, bardzo ściśle ze stosowaniem techniki współczesnej). Konkretnie jednak właśnie one — te błogosławione „lemiesz” i narzędzia im podobne — będą stanowiły problem. Można bowiem pozostawić miecz w pochwie; nie da się jednak pozostawić lemiesz na zawsze w stodole. Totalna wojna atomowa miałaby w gruncie rzeczy wymiary apokaliptyczne — za jednym zamachem; skoro jednak może ona pojawić się w każdej chwili, a jej zhora jest w stanie przesłonić wszystkie dni, jest *rzeczą konieczną*, aby nigdy się nie pojawiła, albowiem tylko *tu* znajduje się ta ocalająca odległość pomiędzy możliwością, a jej zaktualizowaniem, pomiędzy posiadaniem narzędzi a ich użyciem — a to pozwala żywić nam nadzieję, że jej użycie nigdy nie nastąpi (choć stanowi ono paradoksalny cel posiadania). Istnieje jednak niesłychanie wiele innych, pozbawionych siły rzeczy zawierających w sobie apokaliptyczne zagrożenie, które *musimy* teraz i w przyszłości realizować, choćby w celu zapewnienia sobie dopływu wody. Gdy zły brat Kain — bomba — leży związany w jaskini, dobry brat Abel — spokojny reaktor atomowy — zatruwa w sposób pozornie niedramatyczny całe przyszłe pokolenia. Tylko w tej dziedzinie *jesteśmy w stanie* znaleźć w porę mniej niebezpieczne rozwiązania, aby zaspokoić wzrastającą potrzebę energii dla całej cywilizacji, która stara się zapobiec zanikowi jej źródeł konwencjonalnych — o ile tylko szczęście dopisze naszym uczciwym wysiłkom. Moglibyśmy tą drogą dojść do

zredukowania nadmiaru potrzeb i powrócić, a przynajmniej do-
 trzeć do tego, by zaoszczędzić sobie katastrofalnego wyczerpania
 albo zabrudzenia naszej planety, jak tego domaga się sama po-
 wściągliwość. Jest jednak czymś (np.) moralnie nie do pomyśle-
 nia, by biomedyczna technika miała dopuścić do zastąpienia w kra-
 jach „niedorozwiniętych” wielkiej umieralności dzieci zwiększe-
 niem częstotliwości porodów nawet wtedy, gdyby w następstwie
 przeludnienia nędza musiała być większa. Można by przytoczyć
 wiele innych jeszcze, początkowo pomyślnych rozwojów wielkiej
 technologii dla ukazania dialektyki i dwutorowości tychże rozwo-
 jów. Zasadniczą rzeczą jest to, że właśnie błogosławieństwa tech-
 niki pociągają za sobą w miarę, jak jesteśmy na nie coraz to bar-
 dziej skazani, zagrożenie, że staną się dla nas przekleństwem. Ich
 wspólne dążenie do nadmiaru wyostrza jeszcze bardziej to zagro-
 żenie. A jest rzeczą jasną, że ludzkość stała się o wiele za bo-
 gata — dzięki błogosławieństwu tejże techniki — by była w stanie
 powrócić do jakiejś fazy minionej. Może jedynie podążać naprzód;
 powinna także z samej techniki czerpać odpowiednią dawkę
 umiarkowanej moralności będącej środkiem leczniczym na swą
 chorobę. Jest to punkt narożny i sam trzon etyki techniki.

Te krótkie rozważania powinny były ukazać, jak ściśle wiąże
 się „ambivalentność” techniki z jej „wielkością”, a więc z nad-
 miarem jej poczynań w czasie i przestrzeni. „Wielkość” zaś i „ma-
 łość” mierzy się skończonością naszego ziemskiego pola gry — tej
 rzeczywistości, której nie możemy tracić z oczu. Dokładnych gra-
 nic tolerancji nie zna żadna z wielu postaw, w jakich znajduje swe
 ujście ludzki ekspansjonizm. Wiemy jednak wystarczająco wiele,
 aby móc zauważyć, że niektóre z naszych, powiązanych ze sobą
 łańcuchowo, dokonań technicznych osiągnęły już życiowo ważny
 i poniekąd krańcowy rząd wartości, podczas gdy inne dołączają się
 do nich szybko, o ile zachowane zostanie aktualne tempo rozwoju.
 Znaki ostrzegają, że znajdujemy się już w strefie zagrożonej. O ile
 tylko w jakimś z tych ujęć czy kierunków dojdzie do osiągnięcia
 „miary krytycznej”, wówczas może się wszystko nam wymknąć:
 może nastąpić sprzężenie zwrotne wywołujące proces odwrotny,
 w ramach którego koszty utrzymania splączą się w nieodwracal-
 nym, być może, i wciąż narastającym *Crescendo*. Wszystko to
 wymaga troski o solidną, długofalową odpowiedź. A tymczasem,
 gdy blask osiągnięć technicznych oślepia oczy i bliskie zdobycze
 przekupują wyrok, a nazbyt konkretne potrzeby terażniejszości
 (nie mówiąc już o jej chorobach) domagają się pierwszeństwa, wó-
 wczas roszczenia potomności, powierzone naszej odpowiedzialno-
 ści, stają się szczególnie mocne.

W tym, co zostało powiedziane, ujawnił się obok wielkości i ambiwalencji jeszcze inny rys charakterystyczny syndromu technologicznego, mający swoistą wymowę etyczną. Jest to *jakby konieczny* element postępu, który przemienia i uosabia, by tak powiedzieć, nasz własny sposób wykorzystywania siły w rodzaj siły samoczynnej, której zostajemy — jako jej użytkownicy — paradoksalnie podporządkowani. Naruszanie ludzkiej wolności poprzez wynajmowanie jej własnych czynów miało zawsze miejsce w indywidualnym biegu życia, jak też przede wszystkim w historii społeczeństwa. Ludzkość jest w jakiejś mierze obciążona swą własną historią, ale obciążenie to rozwinęło się na ogół w coś w rodzaju hamującej, a nie popychającej siły: siła przeszłości była zawsze bardziej nośna („tradycja”), aniżeli napędowa. Dzieła techniki natomiast idą raczej w tym drugim kierunku, nadając zasadniczy zwrot przyszłościowy zapomnianym już dawno dziejom ludzkiej wolności i zależności. Każdy nowy krok (= „postęp”) techniki zmusza nas do następnego i odnotowuje to samo żądanie w odniesieniu do świata przyszłego, który będzie ostatecznie spłacał długi. Niezależnie zaś od tego dalekiego spojrzenia, element *tyrański* występujący w samej dzisiejszej technice tak dalece, że nasze dzieła stają się naszymi władcami i zmuszają nas do dalszego ich różnicowania i udoskonalania, pociąga za sobą wymóg etyczny, a konkretnie pytanie, na ile poszczególne te dzieła są same w sobie dobre albo złe. Ze względu na autonomię ludzką i godność człowieka, która wymaga, abyśmy byli panami siebie i nie pozwolili się owładnąć naszym maszynom, powinniśmy ten technologiczny galop poddać pozatechnologicznej kontroli.

II

Chcąc przejść od tych ogólnych spostrzeżeń do specyfiki techniki *biogenetycznej*, która obecnie zaczyna dopiero się rozwijać, trzeba by nawiązać do tego, co zostało już powiedziane na temat dążeń do twórczości technicznej, a mianowicie że cechują się one tendencją do zdobycia własnej siły i do uzyskania, by tak powiedzieć, samowystarczalności w odniesieniu do swego twórcy. Powiedzieliśmy to wyżej w sposób trochę obrazowy i hiperboliczny. Ściśle biorąc, odnosi się to nie do twórczości i jej wytworów, ale do samego procesu tworzenia i korzystania, a więc do rzeczywistości abstrakcyjnej, która odbywa się i realizuje za pośrednictwem człowieka. Dopóki bowiem wytwory techniki — narzędzia w najszerszym tego słowa znaczeniu — pozostają rzeczami pozbawionymi życia, jak to miało miejsce przez wieki, pozostaje zawsze „czło-

wiek” jako ten, który musi je wprowadzać w ruch, według swej woli, włączać w obieg lub wyłączać, i który decyduje o ich dalszym rozwoju czyli o postępie technicznym, realizując go drogą nowych wynalazków, z tym, że ta jego „dowolność” jest ograniczona i *de facto* pozbawiona — na skutek wspomnianego wyżej nacisku płynącego z obecnego użycia narzędzi — jakiegokolwiek innej możliwości oraz wtłoczona w określony aktualnym stanem rzeczy kierunek dalszego rozwoju. A zatem „człowiek” oznacza tu tak abstrakcyjny podmiot, jak „społeczność”, „gospodarka”, „polityka”, „państwo” itd. Niemniej jednak *arché kinéseos*, przyczyna ruchu tkwi zawsze w „człowieku”, a ostatecznie w konkretnych jednostkach. I to tak dalece, że kolektywny, technologiczny uczeń czarnoksiężnika mógłby, przywołując duchy, teoretycznie wciąż iść do starego majstra i wołać: „Na rogu siedzi zło, zło!”, a złe duchy stałyby wciąż nieruchomo.

Sam jednak czarnoksiężnik nie będzie mógł tak wołać, albowiem dzieła techniki nie są już złymi duchami, ale nowymi istotami żyjącymi. Posiadają, jak zauważył to Arystoteles, początek i zasadę swego ruchu w sobie samych, a ruch ten dotyczy nie tylko ich funkcjonowania i utrzymania przy życiu, ale także ma na względzie ich pomnożenie, a poprzez cały łańcuch rozkrzewiania się i rozwoju dalsze ich ewentualne doskonalenie się w nowe formy. W dziełach tych, faktycznie stworzonych, człowiek jako *homo faber* rezygnuje — skoro już przekroczył ilościowo swoją dotychczasową twórczość bytów pozbawionych życia — z tego, by miał być sam przyczyną wszystkiego. Dzieło zaś jego rąk zdobywa nie tylko obrazowo, ale i dosłownie własne życie oraz samoistną siłę. Na tym oto progu nowej sztuki, stanowiącym ewentualne źródło dalszego stawania się, wypada zachować odpowiedni moment dla gruntownej refleksji.

Mówimy tu o planowym tworzeniu nowych istot żywych poprzez bezpośrednie ingerowanie w dziedziczny plan budowy, zakodowany molekułami odpowiednich rodzajów. Należy to odróżnić od stosowanej od początków rolnictwa hodowli zwierząt i roślin użytecznych. Rozpoczyna się ona od fenotypów, a opiera na specyficznie substancji zarodkowej. Wykorzystuje się tu naturalne różnicowanie reprodukcji w tym celu, aby dobierając odpowiednio fenotypy poprzez pokolenia uzyskać pierwotny genotyp posiadający pożądane właściwości, czyli drogą sumowania niewielkich i poniekąd „spontanicznych” odchyłeń osiągnąć zamierzony uprzednio kierunek. Jest to zamierzona sztucznie i zarazem przyspieszona ewolucja połączona ze świadomym doborem, mająca zastąpić statystycznie długoterminową mechanikę selekcyjną natu-

ry i wprowadzić przy tym nowe formy bytu, które by nie zaistniały w stanie czysto naturalnym (jak amerykańska kukurydza, która by szybko zaginęła w zupełnie wolnej naturze). A przecież to właśnie natura dostarcza doborowego materiału: to, co ewoluuje pod ręką człowieka, staje się odmianą jedynie dzięki własnym mutantom dobieranym odpowiednio przez hodowcę, a genetyczny związek z formą dziką nie przekreśla na ogół możliwości ponownego z nią skrzyżowania. Człowiek zatem manewruje tym, czego dostarcza mu istniejące aktualnie spektrum możliwości wraz z całym zapasem zawartych w nim mutantów i dalszych mutacji.

Zupełnie inaczej rzecz się miała ze znaną rekombinacją techniki DNA, która — znana od zaledwie stu lat — już po paru pierwszych celnych trafieniach przeszła z laboratoriów do produkcji przemysłowej, obiecując to samo nowym zdobyciom, jakich należy się niewątpliwie spodziewać. W Ameryce zdobycze te podlegają nawet opatentowaniu, a każda z nich przedstawia jakiś nowy, rozprzestrzeniający się dalej rodzaj życia i to nie „wyhodowanego”, lecz „odrestaurowanego”. Za jednym pociągnięciem osiąga się poprzez „rozłupanie i wprowadzenie” materiału genetycznego *odmiennnej rasy* do wiązki chromosomów jednej komórki reprodukcyjnej całkowicie nową generację zmienionych i ubogaconych w nową właściwość organizmów. Można by określić mianem chirurgii genowej, albo manipulacji na genach, albo wreszcie przebudowy zarodka to wszystko, co drogą sztuki mechanicznej, manipulowaniem z zewnątrz na wewnątrz dokonuje częściowych zmian w całości. W każdym bądź razie wszystko to posuwa się wciąż naprzód, z ominięciem *somy*, sięgając wprost do „jądra” czyli do komórki jądrowej, która zawiera w swym molekularnym piśmie zasadnicze „informacje” przyczynowe co do żywotnego obciążenia komórki i samej konstytucji jej potomstwa. Zmiana jednej sylaby tego zapisu (= genu), wprowadzenie nowej litery zmienia sam tekst i daje początek nowej linii. Przeporządkowanie DNA w kluczowym punkcie życia może być obecnie uskutecznione z mikroskopijną dokładnością, a nowowprowadzone „słowo” jest w stanie dać początek całkowicie odmiennemu od tekstu dziedzicznego, organizmowi. Mamy tu zatem do czynienia ze stosowaną biologią jądrową. Podobnie jak stosowana fizyka jądrowa, biologia ta wiedzie do nowego, niedosięgalnego wzrokiem świata. Jawią się tam niesłychane bogactwa, ale i niebezpieczeństwa, które mogą być na swój sposób, nie mniejsze od tych pierwszych.

Przyglądamy się temu, co już mamy, a jeszcze bardziej temu, co możemy osiągnąć — *możliwościom*, których względnie bezgrzeszne początki dopiero nam się ukazują. Skoro jednak tempo

postępu przekraczało, jak dotąd, wszelkie oczekiwania, a niezwykle odważny talent młodych biologów popycha do coraz to nowych badań, nie jest wcale za wcześnie na uprzednie przemyślenie tego, nad czym dotychczas jeszcze nie myślano.

Realna jest (jeśli uwzględnimy pracę nad wirusami) możliwość genetycznej zmiany bakterii: zwierzęce lub ludzkie geny służące do odbudowy określonych hormonów zostają przeszczepione i przekazują nowemu organizmowi tę samą zdolność, jaką dawniej posiadały. A ponieważ bakterie szybko się rozmnażają, powstają wkrótce wielkie i regenerujące się same przez się kultury, z których można czerpać wartościową medycznie substancję. Insulina mająca wielorakie zastosowanie, hormon rozwoju ludzkiego, współczynnik krzepliwości krwi czy też czynnik odporności na choroby — stają się łatwiej, taniej i obficiejszymi osiągalnymi na tej drodze, aniżeli było to możliwe poprzez naturalne źródła organiczne lub samą tylko syntezę. Dyskutowana początkowa sprawa niebezpieczeństwa połączonego z wkroczeniem tych nowych mikroorganizmów w świat zewnętrzny z nie dającymi się przewidzieć następstwami ekologicznymi zdaje się być już nieaktualna, albowiem omawiane organizmy giną szybko na wolności.

Podobnego uspokojenia nie mamy w wypadku neomikrobów, które mają być dopiero tworzone i których biochemiczna działalność ma się odbywać właśnie w otwartej naturze, jako że ma być skierowana do przetrwania i utrzymania się przy życiu w tejże naturze. Wśród zachęcających celów postępu ukrywa się lasecznik, który w stosunku do zbóż czyniłby to samo, co natura w odniesieniu do roślin strączkowych poprzez rodzaj bakterii żyjących w symbiozie z ich korzeniami, dostarczając im azotu (z powietrza), który w przeciwnym razie wymagałby sztucznego nawożenia. Albo też dowolnie rozrzucone w środowisku bakterie eksploatujące naftę, za pomocą których dałoby się opanować olbrzymie kleksy naftowe na oceanach, powstałe na skutek rozbicia tankowców. Nie da się przewidzieć, czy te wymarzone sługi człowieka nie wyemancypują się z ciasnego kręgu swoich zadań, rozbijają własny nurt mutacyjno-środowiskowy i ewentualnie zagrażą w sposób ostateczny nieprzygotowanej na nie równowadze ekologicznej. Czy można więc rozpoczynać tak hazardową grę z otoczeniem? Pierwszym uzyskanym rodzajem tego typu *wolnych* neomikrobów jest zmieniony genetycznie lasecznik kartofla, który ma powstrzymać tworzenie się kryształów lodu (zmarzlin) na liściach rośliny — z niewątpliwą korzyścią dla gospodarki; chociaż został on już przygotowany do prób, to jednak wobec sprzeciwu obrońców środowiska amerykański sędzia wydał tymczasowe rozporządzenie

zabraniające jego wypróbowania w terenie, które utożsamia się ostatecznie z odroczeniem sprawy. W każdym bądź razie wkroczone już tu na teren, na którym powinniśmy się poruszać z najwyższą ostrożnością; nowa zaś odpowiedzialność spoczywa w tym wypadku nie tylko na użytkownikach, ale także na odkrywcach i wytwórcach biologicznych.

Wracając ponownie do niesłychanie groźnych dla środowiska bakterii hormonalnych, przy których tylko ich produkt chemiczny przedostaje się do świata zewnętrznego, trzeba stwierdzić ich bezsporną wartość medyczną dla wyrównywania wrodzonych lub nabytych braków. Nie wszystko ma tu równie wielką moc skuteczną, co insulina, która służy podtrzymywaniu życia cukrzyków; a tymczasem nie zawsze mądre życzenia ludzkie skierowują się w stronę o wiele mniej potrzebnych rzeczy, które pociągają za sobą również poważne ryzyko. Hormon wzrostu może zapobiec karłowatości u dzieci, którym brakuje odpowiedniego genu; nie jest on oczywiście środkiem ratującym życie, chociaż bywa niezmiernie potrzebny. Jego używanie może jednak wiązać się z nadużyciem, gdy nie zachodzi żaden brak, a ma się jedynie do czynienia np. z rodziną lub etniczną (karłowatością) w porównaniu z ogółem ludzi, względnie z próżnością rodziców — to, co „wielkie, jest piękne!” — czy też z różnorodnymi przesądami rasowymi, klasowymi lub stanowymi. Podobne głupstwa popełnia się ze względu na pieniądze, wyrządzając nawet szkody organiczne, które ujawniają się dopiero w przyszłości. To, co można było w pełni zrealizować przy masowym rozmnażaniu się bakterii, ma przede wszystkim zastosowanie w odniesieniu do hormonów płciowych (obojska płci), gdy chodzi o przedłużenie na późniejsze lata życia czynności płciowych i rozrodczych (co stanowiło nieraz życiowy problem dla niejednego mężczyzny); każdy jednak może sobie wyobrazić, a przy tym postawić pytanie, czy jest to dobre i mądre — ze względu na pożytek jednostki i grupy — aby oszukiwać w sposób efemeryczno-hedonistyczny mądrość natury, która ustaliła w tej dziedzinie drogą długiej ewolucji swoje czasy i okresy. Nowe w swej istocie możliwości stawiają przed nami takie, z istoty swej nowe, pytania (na które nie zamierzam w tej chwili dawać żadnej odpowiedzi).

Trzeba by teraz wspomnieć o tym wszystkim, co wiąże się z narkotykami, a także z faktem, że błogosławione w swej istocie lekarstwo, wymagające recepty lub wydawane bez niej, może być niewłaściwie użyte, a odpowiedzialność za to nie spoczywa na wynalazcach czy sprzedawcach, lecz spada na użytkownika i ewentualnie na pośrednika, jakim jest lekarz. Podział odpowiedzialności w tej dziedzinie nie jest jasny — a prawdopodobnie rozciąga

się jeszcze na wszystkich współpracownikach w tym społecznym syndromie; albowiem jak ukazałem, wraz z pojawieniem się sztuki biogenetycznej wyłonił się nowy teren etyczny, co do którego nie jesteśmy jeszcze w pełni przygotowani na skutek braku wcześniej postawionych pytań.

A pytanie takie pozostawało wciąż otwarte w odniesieniu do wspomnianych, obiegowych i praktykowanych form sztuki, która ma do czynienia z samymi korzeniami życia; krótko mówiąc, było to zasadnicze i podstawowe pytanie etyczne: czy zmieniając dowolnie dany przedmiot postępuje się słusznie czy niesłusznie? — w odniesieniu do mikroobów czuliśmy się wolni od podobnego pytania. A przecież to, co można zrobić z jednokomórkowcami, da się również dokonać w odniesieniu do wielokomórkowców — i to zasadniczo przy pomocy tej samej techniki, albowiem każdy wielokomórkowiec zaczyna swe istnienie jako jednokomórkowiec, a decydująca o wszystkim komórka rozrodcza ze swym garniturem chromosomów nie różni się w obliczu rekonstruującej techniki DNA od mikrobu. Tak to teoretycznie drzwi stają otworem w odniesieniu do wyższych zwierząt aż po człowieka włącznie. Te drzwi chcemy obecnie przekroczyć — być może małym krokiem — ideą wyprzedzającą praktykę, aby przy końcu naszej podróży rzucić etyczne spojrzenie na to, co przypada w udziale nam, uczniom czarnoksiężnika, i co pozostaje jeszcze do naszej decyzji.

Muszę przy tym, ze względu na ramy czasowe, ograniczyć się do człowieka, chociaż już przy bliższych nam zwierzętach stanowiących nasze ewolucyjne sąsiedztwo sama myśl o „chimerach” związanych z materiałem dziedzicznym i na nim w sposób dowolny wykonywanych przyprawia o drżenie. W tej dziedzinie może także istnieć spór, albowiem w mentalności zachodniej szacunek dla porządku natury stał się czymś obcym. U człowieka jednak dochodzi do głosu Absolut i wprowadza ze swej strony na pole gry wielorakie obliczenia zysków i strat pod kątem widzenia moralności, egzystencji, a nawet metafizyki — a wraz z pojęciem świętości również resztek religii, która dla Zachodu zaczęła się wraz ze stwierdzeniem z szóstego dnia stworzenia: „I Bóg stworzył człowieka na swój obraz, na obraz Boży stworzył go, mężczyznę i niewiastę stworzył ich” Posłuchajmy w tym względzie Goethe’go, który mówi, jak umiejętności ludzkie potrafią także tutaj polepszać dzieło stworzenia, przekraczając mądrość jego stawania się:

MEFISTOFELES: A cóż ty robisz?

WAGNER: Co? — Człowieka robię.

MEFISTOFELES: Człowieka? Ejże! To snadź pankę młodą

WAGNER:

zamknęliście w dymniku pieca?
 Broń Boże! Dziś płodzenie starą modą
 To zdaniem naszym pusta heca.
 Ten czuły punkt, skąd życia źródło tryska,
 Ta luba moc, co z wewnątrz się przeciska
 Dając i biorąc, stwierdza się — i obces
 Chwyta, co bliskie, a potem i obce —
 Moc ta stracona jest dziś z swego tronu.
 Jeśli się jeszcze zwierz rozkoszą oną
 Syci, to człowiek z tak wielkimi dary
 Musi początek mieć już wyższej miary.

Co w tajemnicy natura chowała,
 My dzisiaj śmiemy rozsądnie próbować,
 Temu, co sama zorganizowała,
 My dziś każemy się krystalizować.

Plan wielki, zrazu śmieszny nam się zda,
 Lecz kpić z przypadku będziem znakomicie,
 Gdy taki mózg, co świetnie myśleć ma,
 W przyszłości stworzy nam myśliciel.

HOMUNKULUS:

Ojczulku mój, no cóż? — to nie żart, nie.
 Pójdź, pójdź — i tak do serca przytul mnie!
 Lecz nie za mocno, by snadź szkło nie trzasło.
 Tać jest wszechrzeczy cecha: nadto ciasną
 Każda rzecz naturalna przestrzeń świata
 mieni,
 Zaś rzecz sztuczna zamkniętej wymaga prze-
 strzeni¹.

Z tego przedziwnego tekstu, który mówi tak wiele, wydobędę myśl, która wyraża niemal wszystko w zakresie omawianego zagadnienia: „Lecz kpić z przypadku będziem znakomicie”. Przypadek: oto produkcyjne źródło rozwoju sztuk. Przypadek: oto gwarancja w każdym rozmnażaniu płciowym tego, że zrodzona jednostka jest niepowtarzalna i niepodobna w pełni do innej. Przypadek wywołuje zdumienie nad czymś wciąż nowym, czego dotąd nie było. Są jednak miłe i przykre zdziwienia, a kiedy na miejsce przypadku umieszczamy sztukę, wówczas możemy oszczędzić sobie na zdziwieniu zwłaszcza niemiłym i według życzenia sprawiać sobie zdziwienia miłe. Owszem, możemy stać się panami samego rozwoju sztuki.

¹ Goethe, *Faust*. Część II, Akt 2, Scena *Laboratorium* (przekład polski, F. Konopka, Warszawa 1962, s. 337 nn).

Wykluczenie przypadku przy tworzeniu homunkulusa umożliwiają dwie przeciwstawne sobie drogi: technika rekonstrukcji DNA w ludzkich komórkach rozrodczych i powielanie jednostek wzorcowych poprzez „klinowanie” komórek ciała. Obie te metody odbudowują w sposób sztuczny bazę chromosomów. Pierwsza zmienia to, co przypadkowe, drogą ulepszającej, a niekiedy nawet odkrywczej manipulacji na genach; druga *ustala* (a mówiąc za Goethem — krystalizuje) osiągnięte szczęśliwie przypadki genetyczne, albo też pozwala dowolnie często i wiernie powtarzać drogą pozapłciową to, co udało się już osiągnąć i co na loterii płciowej rozrodczości mogłoby ponownie zostać pochłonięte przez przypadek.

Weźmy najpierw pod uwagę ostatnie postępowanie, które osiągnęło już pozytywne rezultaty na daleko od nas stojących zwierzętach, zasadniczo jednak może być z powodzeniem wypróbowane na różnych gatunkach ssaków i na samym człowieku. Chodzi mianowicie o to, że w odpowiednich warunkach można otrzymać i utrzymać także podwójną (diploidalną) substancję chromosomową jednej komórki ciała, i to taką, jaka pochodzi z dwóch połówek zapłodnionej drogą płciową komórki jajowej, a więc sprawić, by „zakwitła i wypuściła pączki” oraz wprowadzić ją do kompletnego ciała, któremu poda ona pełną genetyczną „informację”. A ponieważ pochodzi ona wyłącznie i całkowicie z ciała dawcy, powstaje tym samym, z pominięciem przygody zespolenia się dwóch haploidalnych komórek jądrowych, jak to ma miejsce z rozrodczości płciowej, genetyczny duplikat jedyne go organizmu rodzicielskiego, by tak powiedzieć, jednojajowy jego bliźniak. Wykorzystana prakomórka przyjmuje z łatwością odpowiednią tkankę dawcy, zachowując ją w sposobie odżywiania czy też w zamrażalni także po jego śmierci, a reszta dokonuje się *in vitro* lub w sztucznym łonie.

Czemu to służy? Można by ubolewać nad rzadkością geniuszy w całej ludzkości, nad ginącą w śmierci ich niepowtarzalnością, oraz życzyć sobie, a zwłaszcza ludzkości więcej takich lub innych: poetów, myślicieli, wynalazców, wodzów, sportowców, artystów, bohaterów i świętych. Życzenie to może być natomiast spełnione, o ile zgodnie z szacunkiem wartości stworzy się serię lub poszczególne duplikaty Mozarta, Einsteina, Lenina i Hitlera, Matki Teresy i Alberta Schweizera. Nie zabraknie także kandydatur próżniaczych czy też chęci unieśmiertelnienia części zamiennych — powiązanych oczywiście z nieodzowną siłą finansową; a wreszcie miłujących muzykę, lecz bezpłodnych małżonków, którzy przekażą nierozwodnionego Rubinsteina anonimowemu genetycznie

dziecku adoptowanemu. Stanowisko, jakie zajmuje nauka współczesna, nie jest już wcale żartem czy kawałem, lecz kwestią postępu technicznego.

Omawiałem na innym miejscu głupotę takich marzeń, dzieci nadę podobnych ujęć, to, że chodzi tu wciąż o „więcej i lepiej”, o więcej od Mozarta czy też kogoś innego, i że przemilcza się przy tym pytanie (po naszych doświadczeniach z nazizmem), kto miałby przede wszystkim decydować o doborze tego rodzaju życzeń. Przypadek zróżnicowania płci jest niezastąpionym błogosławieństwem, ale i nieuniknionym ciężarem naszego losu, a jego nieobliczalność zasługuje bardziej na zaufanie, aniżeli nasza chwilowa, choć przemyślana decyzja. Staralem się jednak ukazać przede wszystkim zbrodnie dokonane na owocach sztuki. Postaram się zebrać je krótko.

Świadomość, że jest się jedynie kopią bytu, który się już ukazał w swoim życiu, musi zdławić autentyzm własnego istnienia, wolność pierwszego odkrycia samego siebie, możność zaskoczenia siebie i innych tym, co się w sobie kryje; podobna świadomość, bezpodstawna i niedozwolona, zgasi niewątpliwie niezależność otoczenia wobec nowego, a przecież nie nowego przybysza. Podstawowe prawo do niewiedzy, przysługujące niepodważalnie wolności egzystencjalnej, zostaje tu w sposób rażąco naruszone. Wszystko to jest frywolne w motywacji i (moralnie) nie do przyjęcia ze względu na swe skutki; nie chodzi tu zresztą tak bardzo o ilość czy o wielki zakres ich oddziaływania, albowiem w biologicznych poczynaniach już jedna niewielka próba może być czymś karygodnym.

A ponieważ nie istnieje obecnie żadna konieczność, która by zmuszała do tego rodzaju poczynañ, i żadna dolegliwość nie woła o pomoc, trzeba stwierdzić, że chodzi tu raczej o dzieła pychy i arogancji, ciekawości i samowoli; z drugiej strony jednak każda raz jeden wykorzystana możliwość pojawia się wciąż na nowo w sposób nieprzewidywalny i wkrótce bywa już za późno na moralne „nie” — i dlatego ze względu na dobro samej nauki powinno się doradzać, aby nie posuwać się już dalej w tym kierunku. Posłuży to zarówno prawdzie, jak i dobru.

Poważniejszą, a filozoficznie względnie trudniejszą jest droga odwrotna, „twórcza”: *zmienianie* substancji dziedzicznej poprzez manipulację na genach. Można by tu przytoczyć przypadki konieczne, którym tą drogą można dopomóc; istnieją poza tym słuszne, w żadnym razie nie frywolne podstawy rozwoju sztuki. Tym większe jednak zachodzi tu niebezpieczeństwo nadużycia czy wypaczenia, a nawet szaleństwa, albowiem człowiek sam staje się tu

twórcą wzorca dziedzicznego, a nie tylko sposobu dalszego jego przekazywania. Przypatrzmy się jeszcze pokrótce tym możliwościom.

Zaczyna się je wykorzystywać, jak wszystko w technice; w celach jak najbardziej słusznych. Kiedy cukrzyk, któremu pomagają wspomniane już bakterie z insuliną, pyta, czy nie dałoby się tego wszystkiego jeszcze polepszyć, wprowadzając nośniki genów nie do bakterii, lecz w niego samego, i zastępując już na samym początku jego egzystencji szkodliwy gen zdrowym, można by mu wówczas dać z pewnością odpowiedź pozytywną. W gruncie rzeczy jawi się to nam jako idealne rozwiązanie. Chcąc utworzyć cały sztuczny organizm wraz z gruczołem rozrodczym, a tym samym wraz z jego potomstwem, trzeba by równocześnie zatroszczyć się o zapłodnienie, do czego rodzicielska prahistoria mogłaby być dobrą okazją. Prawdopodobnie możliwe by tu były także późniejsze, somatyczne, a zwłaszcza miejscowe poprawki genu w embrionie, które by miały na względzie dobro jednostki. Pozostajemy przy tym zawsze przy radykalnym i optymalnym rozwiązaniu wprowadzania dziedzicznych zmian dosłownie *ad ovo*. A ponieważ w tym hipotetycznym przykładzie chodzi o usunięcie szkód, nie mówi się tu wprost o tworzeniu, lecz o naprawianiu; występuje też z pewnością myśl o genetycznym, a nie somatycznym leczeniu, o usuwaniu przyczyn, a nie przejawów, o jednorazowej i wyjściowej, a nie wciąż powtarzanej pomocy — i jest to myśl na pozór niepodstępna i nieprzekupna. Niemniej jednak poważne wątpliwości obciążają drugą szalę wagi rozstrzygnięć.

1^o — Eksperymenty na nienarodzonych są jako takie nieetyczne. A przecież z natury rzeczy każde wkroczenie w delikatny mechanizm kierowniczy stającego się dopiero co życia jest eksperymentem połączonym z wielkim ryzykiem, że coś się nie uda i nastąpi wykrzywienie.

2^o — Naprawiamy braki konstrukcji mechanicznej. Czy możemy jednak podobnie postępować z rekonstrukcją biologiczną? Nasza postawa wobec nieszczęścia ludzkiego i tych, których ono dotyka, mogłaby przybrać wymiar nieludzki.

3^o — Braki sztuki mechanicznej dają się zastąpić — są do wymiany. Nie da się tego powiedzieć o brakach biogenetycznych.

4^o — Braki sztuki mechanicznej wiążą się bezpośrednio z przedmiotem. Braki biogenetyczne rozszerzają się na zewnątrz, podobnie jak tego się spodziewamy po dobrych czynach.

5^o — Przetransplantowany organ (w somatycznej chirurgii) pozostaje w określonym współdziałaniu z resztą organizmu. Nie znamy jednak, czy i na ile przemieszczony gen (w chirurgii gene-

tycznej) współdziała z innymi elementami całokształtu chromosomów: ukaże się to, być może, dopiero w przyszłych pokoleniach.

6^o — Wreszcie sztuką jako taką, stosowaną do człowieka, otworzyłibyśmy puszkę Pandory (= źródło wszelkiego zła) wynalazczej, ulepszającej lub po prostu perwersyjno-ciekawskiej przygody, która pozostawiając za sobą konserwatywnego ducha genetycznej naprawy wkraczałaby na drogę twórczej arogancji. Do tego jednak nie jesteśmy upoważnieni ani przygotowani — wiedzą, umiejętnościami, opanowaniem siebie — żadna zaś z dawnych postaw uniżenia i szacunku nie strzeże nas, czarodziejów i czarnoksiężników świata, przed czarem lekkomyślnego występku. Niech więc ta puszka pozostanie nadal zamknięta.

Czy oznacza to, że należałoby unikać przechodzenia od chirurgii bakteryjnej do ludzkiej, przekraczania progu *principiis obsta?* Nie sędzę. Medycyna, która chce pomagać, nie pozwoli odebrać sobie możliwości dokonywania takich krótkich i uzasadnionych „napraw”, a tym samym powstaje już jakaś szczelina. Rozsądniej byłoby zapewne oprzeć się raz na zawsze takim charytatywnym poszukiwaniom, ale takiej postawy nie należy się spodziewać wobec nacisku ludzkiego cierpienia. Po jednej stronie tej ryzykownej strefy półmroku pomiędzy tym, co pożądane, a tym, co zabronione, kuszą inne dary Pandory, do których skłania nie jakaś potrzeba, ale czysto prometejskie dążenie. Przeciwno tym pokusom, tym pragnieniom homunkulusa stajemy my, współcześni, wyemancypowani, nieuzbrojeni tak, jak nasi poprzednicy, mając przy tym dumne zadanie stawienia czoła demonom naszych własnych możliwości bardziej, lepiej i konieczniej, aniżeli czynili to nasi poprzednicy. Nasz świat, pozbawiony niemal całkowicie swego tabu, powinien dobrowolnie wprowadzić nowe tabu wobec nowych rodzajów swej siły. Powinniśmy wiedzieć, że odważyliśmy się już na zbyt wiele, i wciąż się przekonujemy, że jest to za wiele. To za wiele rozpoczyna się wraz z integralnością obrazu człowieka, który to obraz winien być dla nas nietykalny. Działać przy nim moglibyśmy tylko jako partacze i nie jesteśmy w stanie być przy tym mistrzami. Powinniśmy na nowo uczyć się obawy i drżenia oraz — nawet bez Boga — bojaźni wobec Świętego. Z tej strony granicy, jaka nam się ukazuje, zadań jest niemało.

Sytuacja ludzka domaga się wciąż polepszenia. Starajmy się dopomagać. Starajmy się zapobiegać, chronić, koić, łagodzić, leczyć. Nie starajmy się jednak o to, aby być — u samych korzeni naszego bytu, u podnóża jego tajemnicy — jego twórcami.

tłum. ks. Lucjan Balter SAC